

# pilot

Napisał: Rafał A. Ziemkiewicz

Ilustrował: Adam Jaroszyński

Brama była zawsze szeroko otwarta, lecz bardzo rzadko przejeżdżał nią jakiś samochód. Rano ciemnoniebieska furgonetka przywoziła świeże warzywa, mleko i pocztę. Wieczorem do ogrodu wtaczał się automatyczny wóz sanitarny. Stanąwszy na środku wypluwał z siebie dziesiątki małych elektronicznych żółwi, które sprzątały trawniki, czyściły piasek alejek, czasem strzygły żywopłot i opróżniały komorę zsypu w południowej ścianie domu. Po kilkunastu minutach lśniąca srebrzyście żółwie ponownie znikają we wnętrzu wozu, który, gdy już wszystkie się tam znalazły, zamykał klapy i bezgłośnie opuszczał teren zakładu, unosząc w sobie wszelkie nieczystości pozostawione w ciągu dnia przez skupisko ludzi.

Zawsze przesiadywali przy tej bramie. Codziennie wydeptywali do niej długie, smutne ścieżki i zastygali w bezruchu, spoglądając tęsknym wzrokiem na drogę. Czekali. Ten ostatni fragment życia, którego właściwie mogłoby już nie być, a który podarowała im w swej dumnej hojności nauka, był odmierzany rytmem czekania. Czekania na śniadanie, czekania na otwarcie drzwi do świetlicy i ogrodu, czekania na wydawanie leków, czekania na obiad i kolację, na dzień i na noc, na słońce albo chmury, albo na ponury deszcz, który spływał czasami z pobliskich gór. Przesiadywali przy bramie wypatrując, czy drogą nie jadą do nich dzieci z wnukami albo starzy przyjaciele. Ale droga zawsze była pusta.

Vires odwrócił się od wychodzącego na bramę zakładu okna i podszedł do biurka. Odsunął krzesło i usiadł ciężko przed plikiem papierów, które rozpanoszyły się na stole pod jego nieobecność. Zaczynał się kolejny dzień pracy.

Niechętnie zaczął się wgryzać w sterłą dokumentów. Najważniejsze odłożył na środek biurka, pozostałe układał kolejno w odpowiednich szufladach lub wyrzucał do kosza. Wśród tych najważniejszych znalazło się kilka świadectw zgonów, które zdarzyły się w czasie jego urlopu i rachunki związane z pogrzebami na koszt zakładu. W dziewięciu przypadkach na dziesięć chowali zmarłych sami, na pobliskim cmentarzu. Rzadko kiedy zajęte pracą na odległych planetach dzieci znajdowały czas, by osobiście pożegnać swych rodziców lub dziadków. Zazwyczaj tylko kiwały głowami nad zawiadomieniem o śmierci pacjenta o nazwisku takim a takim, regulowały ostatni rachunek i zapomniały o całej sprawie. Życie idzie naprzód...

Znalazł tylko jedną kartę informacyjną o przyjęciu nowego pacjenta. Rzucił wzrokiem na jego nazwisko: Ealt Merock. Wydawało mu się skądś znane. I to nie samo nazwisko – często przecież spotyka się wielu ludzi noszących to samo nazwisko – ale właśnie te dwa połączone ze sobą słowa: Ealt Merock. Musiał kiedyś, zapewne bardzo dawno słyszeć o tym człowieku, może nawet znał go osobiście. Ale mimo kilkusekundowego namysłu nie mógł skojarzyć go

z żadnym faktem, z żadną twarzą. Machnął na to ręką. Z pewnością gdy zobaczy tego Merocka na własne oczy przypomni sobie, skąd go zna.

Przeczytał dane z karty i włożył ją do specjalnej szuflady. Jednocześnie wyjął z szuflady karty oznaczone tymi nazwiskami, które figurowały na aktach zgonów. Sprawdził, czy mają należycie podstemplowane wszystkie rubryki i powyrzucił je do kosza. Potem zajął się resztą papierów.

Pracy zebrało się sporo, ale udało mu się z nią uporać stosunkowo szybko. Już wkrótce biurko było puste. Wtedy Vires podniósł się i podszedłszy do okna otworzył je szeroko. Do gabinetu wpadł ożywcy powiew świeżego, słonecznego powietrza. Spojrzał na bramę, pod którą zastygły niczym na warcie przygarbione figurki pacjentów. Odetchnął głęboko i wyszedł z gabinetu. Przeszedł obok sekretarki, stukającej coś zawzięcie na maszynie i znalazł się w przestronnym korytarzu.

– Dzień dobry, panie dyrektorze, dzień dobry... – odezwał się siwy, wąsаты mężczyzna w pasiastej piżamie, siedzący pod oknem na wózku inwalidzkim. Spod koca, którym przykryte miał nogi wystawała tylko jedna stopa. Drugą stracił kilka lat temu w siłowni na Menu Atar. Nie chciał się za nic zgodzić na cyborgizację. Twierdził, że jest już stary i nie będzie się zapaskudzał żadnymi mechanizmami. Wolał fotel na kółkach.

– Dzień dobry, panie Sayters – powiedział Vires, przystając – piękna pogoda, czemu nie ubierze się pan i nie wyjdzie na dwór?

– E, tu mi dobrze – odpowiedział Sayters swoim zduszonym, chrapliwym głosem, trudnym do zrozumienia dla kogoś, kto nie jest przyzwyczajony do słuchania takich głosów każdego dnia. Ponownie odwrócił się do otwartego okna.

– Panie dyrektorze – przypomniał sobie nagle. – A mój Robert nie przysłał

jakiegoś listu? Bo wie pan, ostatnim razem, jak był, obiecał że coś przyśle.

Robert Sayters nigdy nie zjawił się osobiście w domu spokojnej starości, w którym ulokował ojca. Nawet nie próbował się z nim połączyć przy pomocy wideofonu. Ograniczał się tylko do regularnego płacenia należności, co zresztą było warunkiem pozostawiania starego Saytersa w zakładzie.

– Nie wiem, byłem na urlopie. Ale zaraz zapytam, na pewno coś przyszło.

– Niech pan zapyta.

– Zapytam – skinął głową Vires i poszedł dalej.

Przyzwyczał się już do takich rozmów, ale w gruncie rzeczy nie lubił ich. Cieszyło go, że dzięki pięknej pogodzie większość pacjentów przeniosła się do ogrodu.

Przy windzie spotkał głównego lekarza, Amara Fotts'a.

– Jak udał się urlop? – spytał Amar podając mu rękę.

– Dziękuję, świetnie. Trochę był za krótki... ale i tak jestem teraz zawalony papierami.

– Tak, sypnęli się – skinął głową Amar, wpychając ręce do kieszeni. – No, Tenstey i Moor wybierali się tam już od dawna. Uwiad starczy, nic się na to nie da poradzić. A Malev dostał ataku serca. Pięć lat temu wyciągnął bym go z tego jednym palcem, ale teraz...

– W końcu prędzej czy później czeka to wszystkich.

– I mamy jednego nowego. Zauważyłeś już chyba?

– Tak. Ealt Merock. Gdzie go ulokowałeś?

– Na górze, w pokoju po Tensteyu.

– Już tak z nim źle?

Fotts niechętnie skinął głową.

– Fatalnie. To sprawa tygodnia, najwyżej dwóch. Przenieśli go do nas z „Domu zachodzącego słońca”. Pewnie rodzina doszła do wniosku, że tam jest za drogo. Przepraszam cię, muszę lecieć.

– Oczywiście. Pójdę zobaczyć tego Merocka.

– Beznadziejna sprawa – powtórzył lekarz, znikając w korytarzu.

Vires oparł rękę na poręczy schodów, wykonanej z imitującego drewno plastiku. Zawsze chodził schodami. Po części dlatego, że winda była przeznaczona dla tych, którzy nie mogli już o własnych siłach pokonać stromych stopni, a po części... Kiedyś doszedł do wniosku, że po prostu żał mu tych omijanych przez wszystkich schodów.

„Czy schody potrzebują deptania, tak jak astronauta lotów?”

Zastygł z ręką uniesioną nieco nad poręczą, o trzy stopnie od piętra. Astronauta... ależ tak, na litość boską, jak mógł zapomnieć! Ealt Merock, bohater kosmosu osławiony akcją na Zeta Atri. Twarz, którą w okresie, gdy Vires był jeszcze małym chłopcem rozkolportowano w milionach holowizorów i trójwymiarowych pism. Bohater przestworzy... Jak mógł zapomnieć?

Szybkim krokiem wbiegł na korytarz. Gdy był dzieckiem, miliony chłopców takich jak on marzyło, by być takimi jak Merock. Z biegiem czasu zapomina się o młodzieńczych ideałach...

Przystanął przed drzwiami, opierając dłoń na klamce. Pokój 43, opuszczony przed kilkoma dniami przez Tensteya. Tu zawsze lokowali tych, których stan był już beznadziejny.

Klamka pod jego dłonią drgnęła i osunęła się w dół. Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich siostra Gren.

– Och, to ty? Nie wiedziałam, że już wróciłeś.

– Wróciłem – wzruszył lekko ramionami, mimochodem zatykając kciuki za pas. – Właśnie przyszedłem zobaczyć twojego nowego podopiecznego.

Uśmiech Gren przybrał wyraz zakłopotania. Odsunęła się, wpuszczając go do pokoju.

W śnieżnobiałej bryle pneumatycznego tapczanu spoczywała drobna, wysuszona figurka człowieka, zdającego się być jeszcze drobniejszą pośród fałd pościeli. Kurczowo zaciskała na kołdrze malutkie, suche dłonie.

– Śpi? – spytał Vires szeptem.

– Nie. Możesz mówić głośno, bez aparatu prawie nie słyszy.

Vires zbliżył się do łóżka patrząc na obciążoną cienką, pomarszczoną skórą twarz starca. Merock otworzył oczy i potoczył po pokoju nieprzytomnym wzrokiem. Dostrzegłszy Viresa potrząsał lekko głową, usiłując unieść ją z poduszki i wyciągnął ku niemu kościsty palec. Spomiędzy rozchylnych warg rozległ się cichy szep.

– Kto... Kto to?

Vires pochylił się nad leżącym.

– Panie Merock!

– Kto... Nie, to nie Merock. Kto to... co tutaj...

– Panie Merock!

– Daj spokój – Gren położyła mu rękę na ramieniu. – Nie wie, co się z nim dzieje.

– Ciagle jest w takim stanie?

– Nie, czasem odzyskuje świadomość. Ale w tej chwili w ogóle się z nim nie dogadasz.

– MX 429 Iltron... melduje... Iltron melduje...

– Co on mówi?

– Nie wiem, powtarza to ciągle.

– Iltron melduje...

Vires wyprostował się.

– Poruczniku Merock! – powiedział głośno, tak, by odebrał to przytępiony słuch starca.

Merock drgnął. Trzęsąca się dłoń powędrowała do czoła.

– Iltron melduje, panie admirale – wyszeptał Ealt – wchodzę w chmurę... Brak tlenu.... Leat nie...

Głowa opadła mu bezwładnie na poduszkę.

Vires zwiesił głowę i odwrócił się powoli.

– Był kiedyś bardzo sławny – powiedział do Gren wyjaśniającym tonem.

Jego wzrok padł na leżący przy łóżku jaskrawopomarańczowy skafander. Kompletny skafander, z hełmem i plecakiem na butle tlenowe. Wziął go w rękę.

„Wygląda na bardzo stary” – pomyślał.

Merock uniósł się z wysiłkiem i zacisnął dłonie na pomarańczowym materiale. Rzęząc rozpaczliwie „Leat, Leat” zaczął kurczowo ciągnąć skafander ku sobie.

– Zostaw to. Nie pozwala go dotknąć.

Vires posłusznie rozluźnił ręce. Na prawym rękawie kombinezonu dostrzegł wyraźny, choć nieco starty napis: EALT MEROCK i porucznikowskie dystynkcje.

– Leat... – szepnął Merock przyciskając skafander do siebie.

Vires nabrał głęboko powietrza i podszedł do drzwi. Fotts miał rację.

– Czasami zachowuje się naprawdę zupełnie normalnie – powiedziała Gren.

Nacisnął klamkę i znaleźli się na korytarzu. Nagle Gren zarzuciła mu rękę na szyję i obróciwszy go ku sobie wcisnęła w jego wargi namiętny pocałunek.

– Co robisz – rozejrzał się nerwowo, usiłując się wyplątać spod jej ramion.

– Nie bój się, nikt nie zobaczy. Co ci się stało? Zamiast się ze mną przywitać od razu wpadłeś oglądać tego biedaka.

– Chyba nie jesteś o niego zazdrosna?

– Och, skąd. – Znowu przytuliła do jego ust swoje wargi, ocierając się o niego pieścizotliwie, jak kot.

– To jak będzie? – spytała.

– A jak ma być? Normalnie.

Zasyczały rozsuwające się powoli drzwi windy. Ledwie zdążyli od siebie odskoczyć, jakby sparzeni nagle swoją bliskością. Gren machinalnie poprawiła dłonią swoje długie włosy i rzucając mu ostatni uśmiech pobiegła ku schodom.

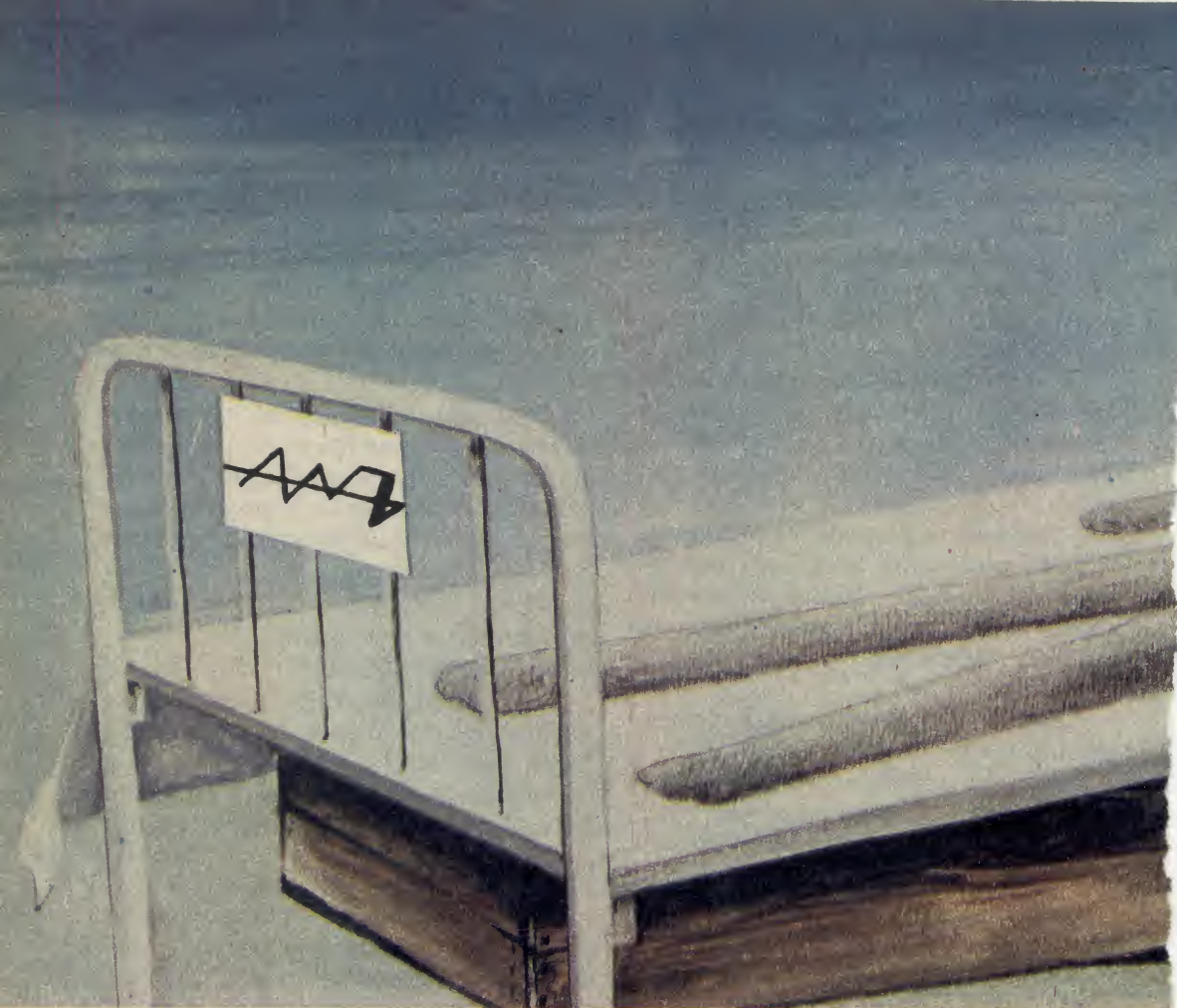
„Ona jest jednak naprawdę cudowna” – pomyślał.

Tego samego dnia, późnym popołudniem, zamknąwszy się w pokoju wyjął z półki opasły tom „Historii podboju kosmosu” i odszukał w skorowidzu nazwisko Merocka. Otworzył plastikową księgę na odpowiedniej stronie i wyciągnąwszy się na tapczanie włączył wmontowane w oprawę urządzenie czytające.

„Oddziały rebeliantów” – zaczął miękki, przyjemny baryton – „schroniły się wtedy w opuszczonej bazie Zeta Atri. Udało im się jednocześnie zmylić poszukujące ich oddziały floty wojennej. Podczas gdy siły zbrojne przeczesywały inne rejony układu, zwiad rebeliantów zaatakował statek pasażerski „Enterprise” i uprowadził go na Zeta Atri.

Jedyną jednostką floty, która znajdowała się w tym rejonie był niszczyciel Iltron (MC 429), z załogą w składzie: nawigator, dowódca jednostki sierżant Ealt Merock i strzelec, kapral Phillip Leat. Nie czekając na rozkaz sierżant Merock rzucił swoją jednostkę w kierunku opanowanej przez buntowników bazy. Rebelianci jednak okryli ją zawczasu meysternową chmurą pyłową, mającą chronić ich przed ogniem artyleryjskim. Iltron zwrócił się do centralnej pamięci komputerowej z prośbą o podanie planu typowej bazy ZA. Po otrzymaniu tych danych zdecydował się podjąć niebezpieczną próbę lądowania w jednym z bocznych doków przeładunkowych bazy i odbicia zakładników. Okazało się jednak, że pasażerowie już nie żyją, a sam statek został przez rebeliantów zamieniony na wyposażony w broń I krążownik, który miał w samobójczym ataku zniszczyć Ziemię. W walce z buntownikami poległ kapral Leat. Merockowi udało się uciec, zakładając uprzednio w jednym z reaktorów ładunek wybuchowy, który doprowadził do zniszczenia bazy i statku „Enterprise” zanim rebelianci zdążyli użyć go przeciwko Ziemi.

Sierżant Merock został, w uznaniu



swego bohaterstwa, odznaczony krzyżem V.S.C. i awansowany do stopnia porucznika. Jeden z je...

– Czy mam przełożyć stronę? – spytała książka, przerywając w pół słowa.

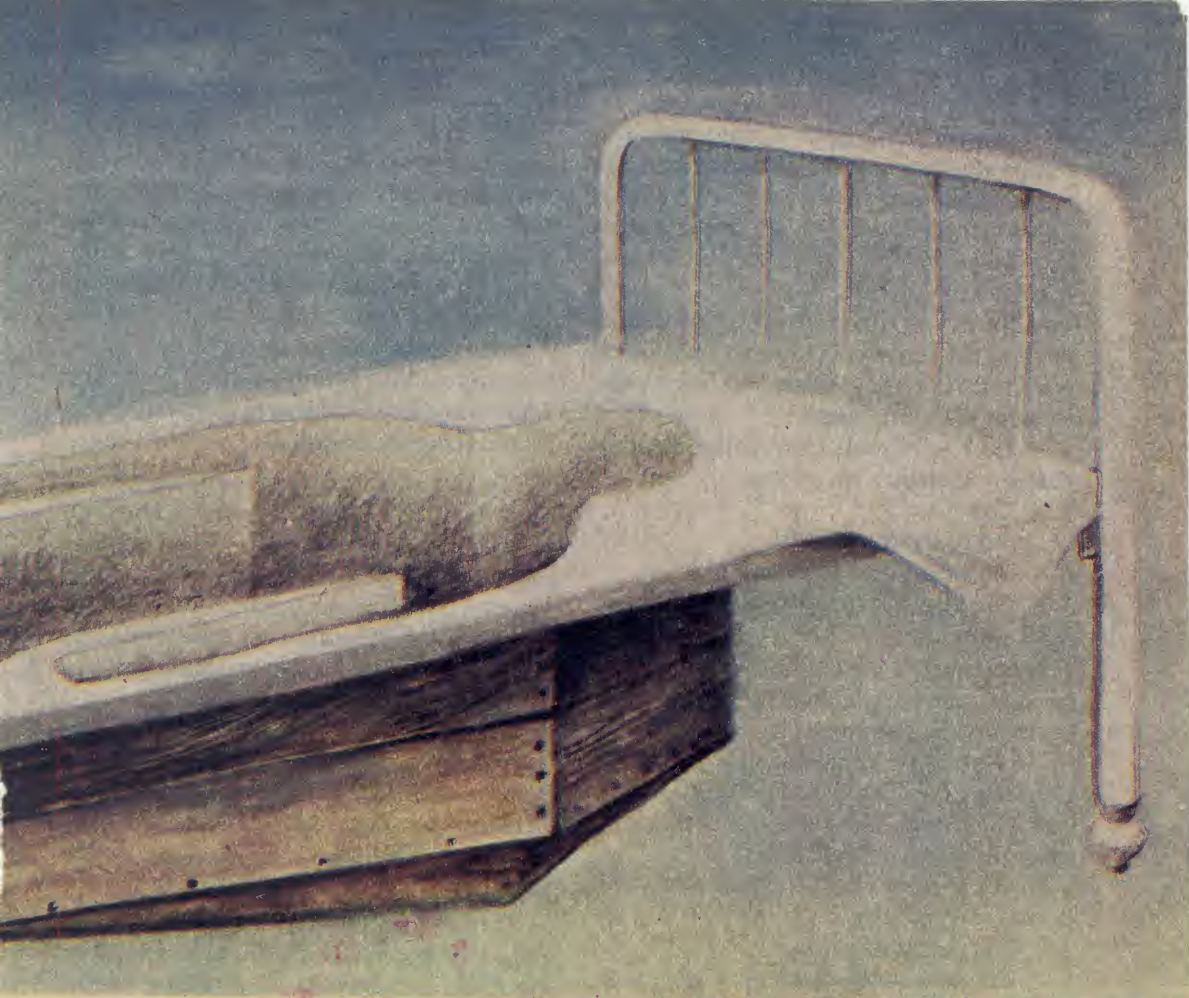
– Nie, wystarczy.

Wziął książkę w rękę. Niemal połowę strony zajmowało trójwymiarowe zdjęcie młodego, ciemnowłosego mężczyzny o wydatnym podbródku i wyrazistym spojrzeniu. Podpis pod nim brzmiał: „Porucznik Ealt Merock, wstawiony m.in. bohaterską akcją na Zeta Atri”. Przypatrywał mu się długo. Trudno było się z tym pogodzić, ale niewątpliwie był to ten sam człowiek, który teraz leżał nieprzytomny w pokoju numer 43. Kanciasta żuchwa, znamionująca silną wo-

łę, była teraz głęboko zapadnięta. Oczy otoczyły się liniami zmarszczek, które poorwały też wysokie czoło i policzki. Stalowe spojrzenie wyblakło, a z czarnych włosów nie pozostał ani jeden. Ale niewątpliwie to był właśnie on.

Kiedy Vires był mały, to samo zdjęcie wisiało nad jego łóżeczkiem. Marzył wtedy, by kiedykolwiek spotkać Merocka. Czy mógł przypuszczać, że jego marzenie spełni się w taki sposób?

„Kiedyś i ciebie to czeka, Vir” – pomyślał – „Na razie jeszcze jesteś dość silny, żeby pchać swój wózek. Masz dobrą posadę i nie musisz się martwić o pieniądze, choć może nie masz ich tyle, ile byś chciał. Masz Gren i nie czujesz się samotny. Ale co będzie za te siedemdzie-



siat kilka lat... Cholera, nigdy jeszcze się nad tym nie zastanawiałeś? Ale ty przynajmniej nigdy nie byłeś bohaterem..."

Z rozmyślań wyrwał go syk otwierających się i zamykających ponownie drzwi.

- Piinng... panng... penng... - zaśpiewały cicho zapalone świetlówki. W drzwiach stała Gren. Sukienkę miała moką, po twarzy i włosach spływały jej kropelki wody.

- Zginęła mi suszarka, pożycz - powiedziała, podchodząc do szafy. - Cemu leżysz po ciemku?

Podczas jego rozmyślań niespodzianie, jak zawsze w tej okolicy, zapadł zmrok. Pod oknem, gdzie leżał, było

jeszcze dość widno, ale wewnątrz pokoju zaległa już ciemność.

Nie odpowiedział na pytanie, lecz spojrzawszy na Gren zapytał zdziwiony:

- Co ci się stało?

Potrząsnęła głową, rozrzucając wkoło kropelki wody, które spływały z jej włosów.

- Ten nowy pacjent, jak mu tam... Merock?

- Merock. Co zrobił?

Otworzyła szafę.

- Zaczaił się za łóżkiem i kiedy przyniosłam mu kolację zaczął do mnie strzelać pastą do mycia szyb.

- Czym?

- Pastą!! - przerzuciwszy w szafie

wszystko wyciągnęła z niej suszarkę i zbliżyła ją do swoich włosów, naciskając jednocześnie włącznik. – Krzyczał, że wytłucze wszystkich rebeliantów, a mnie pierwszą, i tych z „Enterprise” też.

– To by się zgadzało – mruknął, podnosząc się leniwie. Dopiero chwilę potem dotarł do niego sens ostatnich słów. Zerwał się z tapczanu.

– Jak? – spytał, chwytając Gren za ramię – Powtórz to, proszę!

– Co?

– No to, co on mówił!

– Majaczył coś, jak zwykle.

– Ale powtórz to, proszę cię, jak najdokładniej.

Włosy miała już suche. Wyłączyła suszarkę i wstrząśnięciem ramion wyswo-bodziła się z jego uścisku.

– „Zabijemy wszystkich rebeliantów i tych drani z «Enterprise» też”. I jeszcze wołał: „Leat, w tamtym korytarzu, uważaj”. O to ci chodziło?

Opuścił rękę i uśmiechnął się lekko, jakby zawstydzony.

– Tak. Przepraszam.

– Znałeś tego faceta?

Pokazał jej zdjęcie Merocka.

– To on – powiedział. – Kiedy byłem mały, był moim idolem.

– Był całkiem przystojny. Kto by pomyslał? – stwierdziła oglądając fotografię.

– Pójdę tam. Nie wiadomo, co on znowu zrobi.

– Teraz je. Przypuszczam, że już nic nie pamięta. Idę do siebie, muszę się przebrać.

Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za drzwiami. Odłożył książkę na półkę. Chwilę potem jego kroki zadudniły na nigdy nie używanych schodach.

Korytarzem na piętrze powoli toczył się robot, zagarniając z pneumatycznym śpiewem papiery, kurz i wszelkie możliwe zanieczyszczenia, które w ciągu dnia znalazły się na dywanie i wykładzinie ścian. Vires ominał go i zbliżył się do

roztaczających magiczne promieniowanie drzwi pokoju 43. Były uchylone. (Tu, na górze, były staroświeckie drzwi, pojedyncze i na zawiasach, nie rozsuwane, jak na dole). Najwidoczniej Gren w pośpiechu zamknęła je niezbyt dokładnie i pod wpływem przepływu powietrza, a może własnego ciężaru odsunęły się od futryny na kilka centymetrów. Pchnął je lekko palcem. Otworzyły się bezgłośnie. Wsunął się do pokoju.

Merock siedział przy dosuniętym do ściany stole, plecami do drzwi. Nie zauważył, jak Vires wszedł. Przed nim na stole stała taca z kolacją, a obok na krześle leżał, a właściwie siedział niczym żywy człowiek, podtrzymywany dłonią Merocka za kryzę hełmu jaskrawopomarańczowy skafander.

– Jedz, Leat – mówił cicho Ealt wlewając lewą ręką kolejne łyżki zupy za uniesioną szybę próżniowego hełmu. – Musimy ich wykończyć... Nie pytaj po co, Leat. Musimy, takie jest nasze zadanie.

Zamilkł na chwilę, jakby wysłuchując odpowiedzi skafandra. Z trzęsącej się łyżki skapywały na podłogę krople zupy.

– Nie, nie – podjął po chwili. – Wykończą nas, jeśli się zorientują. To już lepiej stąd wiać, tlen dostaniemy od naszych jak wyjdziemy z chmury.

I znów chwila milczącej odpowiedzi skafandra.

– Nie, do cholery! Jeszcze ja tu rozkazuję, Leat!

Ealt z trudem podniósł się z fotela i powłókł do łóżka. Prawą dłonią przesunął niewidzialną dźwignię na poduszce.

– MC 429 Iltron – wyszeptał do nieisntniejącego mikrofonu. – Sierżant Merock melduje: Zdrójcy ze statku „Enterprise”...

Jego głowa opadła bezwładnie na poduszkę. Leżał przez chwilę, potem przewrócił się i naciągnął na siebie kołdrę.

– Leat... – powiedział – Leat, zimno ci tam.

Zwłóknął się z łóżka i ściągnawszy skafander z krzesła położył go obok siebie.

Vires zaczął się powoli wycofywać. Zawadził o coś nogą. Pochylił się i podniósł z ziemi kilkunastocentymetrowy, blaszany walec, pokryty kolorowymi napisami. Na korytarzu przyjrzał mu się uważnie. Mała płaska rękojeść, w której umieszczony był przypominający spust przycisk podobna była do kolby pistoletu. W dodatku po lewej stronie „lufy”, prostopadle do rękojeści przymocowany był nieduży prostopadłościan, jakby magazynek. Przy pewnej dozie wyobraźni można było uznać ten przedmiot za broń.

Vires wycelował przed siebie i nacisnął spust. Struga białej pasty wytrysnęła na kilka metrów, zostawiając na wykładzinie ścian i podłogi smugę pienistej substancji. Robot odwrócił się i zabrał do jej usuwania.

Przez chwilę zastanawiał się, czy odebrać Merockowi jego „broń”, w końcu jednak rzucił mu ją do pokoju przez szparę w drzwiach i domknawszy je zbiegł na dół.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Nawet przyjemne ciepło odprężonego ciała Gren przytulonej do jego boku, które zawsze wprowadzało go w spokojny, przyjemny sen, tym razem nie było w stanie wyrwać go z rozmyślań.

„Zdrajcy ze statku «Enterprise»... Dlaczego zdrajcy? Dlaczego chce ich zabić?”

Zasnął nad ranem nie doszedłszy w swych rozmyślaniach do niczego.



Następnego dnia, po załatwieniu normalnych czynności służbowych, połączył się z najbliższą biblioteką (Tristel, o dziewiętnaście kilometrów od ich zakładu) i zażądał przysłania wszystkiego, co dotyczyło akcji na Zeta Atri i Ealta

Merocka. Nadeszło to pocztą pneumatyczną pół godziny później: książki, czasopisma, wycinki z gazet, wielkie zdjęcie. Dość dużo, choć nie tak wiele, jak Vires się spodziewał. Zapoznał się z nimi pobieżnie, w ciągu kilku godzin, zwłaszcza z życiorysem Merocka. Dzieciństwo, młodość, lata spędzone w korpusie kadetów. Potem pierwsza samodzielna wyprawa i awans do stopnia kaprała. Objęcie sekcji krążownika „Haida”. (Wtedy to dwudziestoparoletni kapral Merock wyróżnia się po raz pierwszy w czasie akcji ratunkowej po zderzeniu się transportowca „Nakers” z meteorytem. Dostaje Krzyż Rycerski III kategorii i zostaje przedstawiony jako bohater w programie holowizyjnym u boku kmdra Nertza, dowódcy „Haidy”, który w akcji tej wybitnie się nie popisał, ale i tak otrzymał za nią Krzyż Rycerski I kategorii).

Potem kapral Merock przenosi się do eskadry patrolowej i zostaje nawigatorem – pilotem statku „Analion”. Bierze na nim udział w kolejnej operacji, za którą zostaje mianowany młodszym sierżantem i otrzymuje złoty Krzyż Rycerski I kategorii. W pół roku później otrzymuje Złotą Gwiazdę i zostaje uznany bohaterem roku. Setki wywiadów dla prasy i telewizji, pieniądze, sława...

Lata służby mijają mu na patrolach, akcjach ratunkowych, pacyfikacjach i wyprawach badawczych. Wydaje się już, że jego gwiazda gaśnie bezpowrotnie i że wszyscy o nim już zapomnieli, gdy nagle znowu staje się ośrodkiem zainteresowania po pamiętnej akcji na Zeta Atri uważanej powszechnie za ukoronowanie jego kariery. Jest jedynym, któremu udaje się wyjść z tej akcji z życiem, ociera się zresztą o śmierć – dolatuje do bazy z zapasem tlenu na piętnaście minut.

Potem nagle zaczyna gdzieś zniknąć, cichnąć... Ci, którzy go kiedyś uwielbiali starzeją się i powoli zapominają o swo-



im młodzieńczym ideale, a młodzi mają już innych idoli.

A teraz nagle odnajduje się w „Domu spokojnej starości”. Stary, zniedołężniały, zapomniany przez wszystkich...

Vires długo poszukiwał w książkach danych o rodzinie Merocka. W końcu znalazł wycinek prasowy następującej treści: „Słynny pilot Ealt Merock, jeden z asów naszej floty ożenił się z córką znanego malarza Anną Treen. Ceremonia odbyła się...”

Tylko tyle, nic więcej. Poszukał w kartotece karty Merocka. W rubryce „Osoba opłacająca pobyt w zakładzie” widniało nazwisko: F. Merock. Syn czy córka? Nie mieli ochoty trzymać w domu zeszkleroziałego starca. Pewnie, nikt tego nie robi, nawet najbardziej kochające dzieci. Od tego są domy starości.

Zatrzasnął szufladę.

Słońce, które minęło już zenit grzało łagodnie, nie piekąc tak, jak w południe. Ciepły powiew, który wpadł do gabinetu przez otwarte okno podrzucił Viresowi, by wyjść na spacer, odetchnąć świeżym powietrzem.

Idąc korytarzem po raz pierwszy odkąd został dyrektorem poczuł, jak bardzo jest on ponury. Przygnębiony, choć niby nowoczesny i przestronny. Zalany słodkim światłem płynącym przez wielkie okna. Obłożony plastikiem i niklem. Świecący czystością. I poznaczony tu i ówdzie przygarbionymi sylwetkami w pasiastych piżamach i szlafrokach. Te same przygarbione sylwetki, czekające nie wiadomo na co, które przesiadują całe dnie w parku przy szeroko otwartej bramie.

Niemalże wybiegł do ogrodu. Trudno było mu nazwać ten dziwny stan, w jaki wprawilo go studiowanie dawno umarłej legendy. Pilot galaktyczny, bohater kosmosu Ealt Merock jest tu. Ale to nie jest on.

Wąską alejką wyłożoną drobnym, jasnorożowym piaskiem dotarł do najrzadziej odwiedzanej części ogrodu. Nie

było tam nikogo. Zanurzył się w gęstwinie splecionych krzewów.

Na jednej z gałęzi szamotała się rozpaczliwie jaskrawopomarańczowa płachta, odcinająca się wyraźnie od zielonych liści. Znał ją skądś. Kiedy podszedł bliżej i zaczął ściągać ją z konarów, na których była rozpięta, zrozumiał, że jest to skafander kosmiczny. Nie musiał nawet patrzeć w górę; wiedział, że znajduje się pod oknem pokoju 43.

Pod dystynkcjami i nazwiskiem zauważył drobnutki literki, które przedtem uszły jego uwadze: MC 429 Iltron. Szyba hełmu była zarysowana, najwyraźniej od upadku na gałąź. Delikatna rysa, tak delikatna, że można było zerwać ją palcem i pokrywające skafander kropelki rosy. Najwyraźniej leżał tam już dość długo.

Skafander nie miał założonego plecaka na butle z tlenem. Tego typu ubiory były w miejscu, w którym plecak stykał się z plecami astronauty znacznie pogrubione. I właśnie w tę zgrubiałą warstwę kombinezonu, pomiędzy łopatkami, wbity był nóż. Vires wyjął go ostrożnie, jakby obawiał się, że ze skafandra tryśnie krew. Był to zwykły, kuchenny nóż, jeden z wielu identycznych używanych w zakładzie. Nożem takim trudno było się skaleczyć. Przebicie nim grubej warstwy pancernego materiału było niemożliwe.

Obejrzał skafander dokładniej. Nóż był włożony w stare rozcięcie o obtopionych brzegach, o wiele szersze od jego ostrza. Musiało być ono zrobione jakąś potężną klingą, pewnie astronautycznym bagnetem. Wkoło widniało jeszcze kilka takich rozcięć.

Schował nóż do kieszeni i zaniósł skafander do pokoju Merocka.

Ealt leżał na łóżku wpatrując się w sufit.

– Poruczniku Merock... – powiedział Vires, zbliżając się do niego ze skafandrem w ręku. Starzec zmierzył go wzrokiem.

„Na pewno nic już nie pamięta” – pomyślał, kładąc skafander na łóżku.

– Leat... – chciał jeszcze coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Merock gwałtownie potrząsnął głową.

– Skąd pan zna to nazwisko? – zapytał zupełnie przytomnie.

Vires usiadł na skraju łóżka.

– Powtarzał je pan często – odpowiedział – Nazywał pan tak ten skafander.

Merock ponownie spojrzął na sufit.

– To nie jest „Dom zachodzącego słońca”. Gdzie ja jestem?

– W „Domu spokojnej starości” w Nent. Przysłali tu pana.

– Pewnie moim dzieciom zabrakło pieniędzy, by płacić za tamtejszą opiekę. Nie, nie zabrakło, po prostu mi ich pożalowali. Od dawna tu jestem?

– Kilka dni.

– Dopiero teraz odzyskałem przytomność?... Zresztą i tak tylko na kilka godzin. To straszne, tak żyć. Chciałbym już umrzeć... Dlaczego pan wchodząc mówił o Leacie?

Vires dotknął skafandra.

– Tak pan nazywał ten skafander. Znalazłem go pod oknem... Był przebitý nożem – przypatrywał się uważnie, jak Merock zareaguje na te słowa.

Starzec boleśnie zaciął wargi.

– Zabiłem go... Tak, zabiłem go... Wiedział pan kiedyś astronautyczny bagnet? Przebija wszystko, wystarczy lekko dotknąć. Wszyscy uwierzyli, że zginął na Zeta Atri, a on krąży tam do dziś w pobliżu jej szczątków. Nie było tlenu dla nas dwóch! On też chciał mnie zabić, ale ja byłem szybszy. To on zabił ludzi z „Enterprise”! To on...

Spojrzął na Viresa.

– Już zbliżam się do końca – powiedział spokojniej. – Słyszał pan o akcji na Zeta Atri?

– Tak... Terroryci porwali statek „Enterprise” i...

– Nie. Nikt nie porwał „Enterprise”. To nie byli żadni terroryci. Ci ludzie chcieli tylko uciec. Kupili ten statek i chcieli się zaszyć w starej, ogołoconej z uzbrojenia i radarów bazie. Ale rząd i sztab uznały ich za niebezpiecznych. Ogłosiły, że to rebelianci... I kazały ich zniszczyć. Ja nie chciałem, to Leat... On założył ten cholerny ładunek. Polazł tam po cichu i zaminował reaktor. A potem zwialiśmy...

Starzec przymknął oczy.

– Tylko, że nie starczyło tlenu dla nas obojgu...

★

Sześć dni temu Merock umarł. Zupełnie nagle i cicho. Po prostu zgasł, jak wypalona świeca. Jego kartę wyjęto z kartoteki i spalono. Rodzina wyraziła wolę, by pogrzebem zajął się zakład i tak też zrobiono. Pogrzeb odbył się następnego dnia, pod wieczór. Nie przyszedł nań nikt poza pracownikami zakładu.

– Wiesz, Vir – powiedziała tego samego dnia wieczorem Gren – ciągle myślę o tym Merocku. Zawsze, kiedy któryś z nich umrze, zaczynam się zastanawiać, co kiedyś będzie ze mną. To strasznie głupie uczucie. Ale wiesz, chciałabym, żeby coś po mnie zostało jak umrę... Znałeś go, zanim do nas trafił?

– Tak – odpowiedział Vires – Wtedy, gdy jeszcze był wielki i sławny. Teraz już wszyscy o nim zapomnieli... To był jeden z ostatnich... może już ostatni z tych „silnych ludzi”, z tych prawdziwych, twardych zdobywców, dzięki którym jesteśmy dziś w kosmosie. Kryształowy człowiek, wybrany z wybranych... Dziś już takich nie ma.

– Tak, Vir. Opuścił cię bohater młodości – powiedział do siebie chwilę potem – To był naprawdę wielki człowiek.

Było to jedyne, co o nim w tej chwili myślał.

(Opowiadanie wyróżnione  
w konkursie klubu SFAN)